

Wstęp

Co wolno, a czego nie wolno

Psychologia, jako nauka o człowieku, posiłkująca się wiedzą z różnych dziedzin, jest w istocie nauką interdyscyplinarną. Podejmowanie interdyscyplinarnych rozważań jest przedsięwzięciem tyleż ekscytującym, co karkołomnym, jeśli wziąć pod uwagę mnogość prac, jakie w każdej z tych dziedzin powstały – i nadal powstają. Ponawiane są też próby formułowania kolejnych wersji „ogólnej teorii wszystkiego” (Barrow, Weinberg). *Albowiem bynajmniej nie słownego mędrkowania brak w naszych czasach* – powiedział już onegdaj pewien starożytny filozof. Konkurencja jest zatem ogromna. Jednocześnie jednak ogromna jest też pokusa – a to z kilku powodów.

Pierwszy z nich – bodaj czy nie najważniejszy – zawiera się w stwierdzeniu tegoż samego filozofa, iż *człowiek jest istotą znajdującą upodobanie w rozważaniach teoretycznych* (Epiktet, Diatryby, I, 29). Co prawda, powoływanie się na sąd – skądinąd prawdziwy – choćby i największego mędrca samo w sobie nie daje żadnej gwarancji intelektualnej przyzwrotności i rzetelności takiego „mędrkowania”, niemniej w jakimś przynajmniej stopniu tłumaczy motywy, jakie mogą do tego skłaniać. Rodzą się one bowiem z przyrodzonej skłonności człowieka – ba, wręcz instynktownej potrzeby – do nieustannego porządkowania we własnym umyśle obrazu świata, w jakim przychodzi mu żyć. Obraz ten kształtuje się dzięki nieustannie gromadzonej wiedzy, którą trzeba przecież jakoś spożytkować, jeśli chce się pogłębiać rozumienie zarówno samego siebie, jak i otaczającej rzeczywistości. Rzecz jasna, udział w jego tworzeniu mają na równych

prawach także własne doznania i sposób ich transponowania na subiektywny osąd o roli, jaką odgrywa ta wiedza z punktu widzenia własnego życia i działania.

Nikt przytomny na umyśle nie ośmieli się twierdzić, że istnieje jeden kanoniczny wzorzec systematyzacji tej wiedzy, jej przetwarzania i syntezy. Przyjęcie takiego założenia dowodziłoby albo całkowitej bezmyślności, albo (co na jedno wychodzi) pogodzenia się z zanikiem ducha eksploracji, której istotą jest przecież nie tyle mechaniczne, alfabetyczne katalogowanie informacji i jej archiwizowanie, ile nadawanie sensu poszczególnym jej elementom. To zaś jest niczym innym jak przypisywaniem im znaczenia wedle miary własnego doświadczenia, jakie kumuluje się latami w nieustannym procesie konfrontowania własnego życia z osiągnięciami nauki.

Subiektywizm oglądu świata i oceny stanu wiedzy o nim jest czymś naturalnym i wcale nie musi być dyskwalifikowany jako paradygmat poznawczy. Przyrównać to można do powstawania niepowtarzalnych w swej oryginalności dzieł sztuki, traktujących o rozmaitych przejawach kondycji ludzkiej. Od zarania dziejów były one, i nadal są, przedstawiane w niezliczonych formach artystycznych, dostępnych każdej odmianie wyobraźni. A przecież nikt nie ośmieli się twierdzić, że temat ten kiedykolwiek się wyczerpie. Jak świat światem powstawały i będą powstawać kolejne opisy i opowieści o dylematach egzystencjalnych, o związanych z nimi dramatach, radościach, walkach, grach – słowem, o wszystkich tych nieskończonych odmianach i niuansach emocji, namiętności i nadziei, jakie im towarzyszą. Artysta, inspirowany natchnieniem zrodzonym z własnego doświadczenia, nie ogląda się na to, że „wszystko już było”. Gdyby uznał, że po dokonaniach rzeszy swych poprzedników nie ma już właściwie nic do roboty, byłby zwykłym durniem, beztalenciem albo tchórzem. Podobnie jest z aktywnością umysłową, którą nasz filozof nazywa dobrotliwie „mędrkowaniem”.

Zaniechanie myślenia tylko dlatego, że wszystko przemyśleli już inni, należy uznać za świadectwo duchowej i intelektualnej gnuśności, w jaką nieuchronnie popada rozum, edukowany wyłącznie w bibliotekach. Rezygnacja z eksploracji poznawczej, sprowadzanie oglądu świata wyłącznie do korzystania z tego, „co pod ręką”, prowadzi w rezultacie do zaniku wolnej woli i redukuje człowieczeństwo do funkcji rdzeniowych. Dlatego tak jak nieustannie będą powstawały nowe dzieła sztuki, tak wciąż będą

podejmowane kolejne próby najrozmaitszych „rozważań teoretycznych”, które można by uczenie nazwać spekulatywną analizą aktualnego stanu wiedzy o świecie i o człowieku, stymulowaną przez doświadczenie, intuicję i wyobraźnię tego, który jej dokonuje.

Wnikliwy, dociekliwy i bez wątpienia „życzliwy” krytyk powie, że powyższe stwierdzenie należy potraktować jako wyprzedzające usprawiedliwienie autora dla własnej próżności, graniczącej z pychą. Zawsze istnieje obawa, że szalony i natchniony artysta okaże się grafomanem czy marnym pacykarzem, a samozwańczemu analitykowi o duszy filozofa grozi żałosne dyletanctwo. W świecie akademickiej specjalizacji wszelka interdyscyplinarność bywa wielce podejrzana; w najlepszym razie traktowana jest z rezerwą. Działa tu niepisany nakaz przestrzegania prawa wyłączności, wedle którego wkroczenie obcych na terytoria zarezerwowane dla specjalistów jest uznawane za proceder ze wszech miar naganny, wręcz za bezczelną uzurpację.

Lecz w dziejach myśli ludzkiej – eksploracji ducha i rozumu – takim właśnie harcownikom świat zawdzięcza najwięcej. Jeśli nawet się mylą, to przynajmniej sprawiają, że życie umysłowe staje się barwne i ciekawsze. Tym bardziej że wielu z nich wcale się nie myliło. Mendel nie był wykształconym przyrodnikiem, lecz skromnym mnichem, a przecież z powodzeniem zapuścił się ze swymi pomysłami w obszary zakazane przez teologów i zarezerwowane dla biologów. Nawet matematyka, w której obowiązuje największy rygorizm formalny, zna przykłady szalonych wizjonerów, stających kością w gardle grymaszącym akademikom (np. Cantor). Życie dowiodło już nieraz, że rozmaite fanaberie bywają zdumiewająco odkrywcze i niepokorne duchy wszelkiej maści w ostatecznym rozrachunku mają rację, choć, oczywiście, nie rozwiązują wcale wszelkich „zagadek bytu”, gdyż jest to po prostu niemożliwe.

Uleganie zatem swoistym „lękom poznawczym” czy obawa posądzenia o dyletantyzm nie ma sensu. Rzecz bowiem nie tyle w samym problemie, tezie bądź narracji – choćby nawet najbardziej fantastycznej czy nieortodoksyjnej – ile w metodzie, czyli w dyscyplinowaniu pracy umysłu. Albowiem prawdą jest, że wolność poznania, dzięki której rodzą się najdziksze czasem pomysły, niepoddana rygorom rozumu może wywieść na manowce. Jednakże pragnienie wolności zawsze pozostaje silne, przemożne – i nie do okiełznania. A efekty? Cóż, poddane osądowi czasu i ludzi

bądź sprawdzają się i zostają włączane do puli aktywów ludzkiej myśli, bądź znikają niczym ulotna *fantasmagoria*, po której pozostaje żal, rozbawienie, czasami niesmak, wreszcie jakaś nieokreślona nadzieja na przyszłość.

Obawa przed studiami interdyscyplinarnymi, choć uzasadniona, nie powinna jednak zniechęcać czy zgoła paraliżować. Nie wolno ulegać mitom sławetnej specjalizacji i bać się zarzutów o wkraczanie „na nie swoją działkę”. Rozdrobnienie, rozczłonkowanie nauk wszelakich osiągnęło dziś poziom osobliwego absurdu. Ilość wiedzy szczegółowej daleko przekroczyła krytyczny próg percepcji, za którym obowiązują już tylko dwa sławetne prawa chaosu – prawo Murphy’ego i prawo Petera. Pierwsze z nich w jednym ze swych wariantów głosi, że coraz większa liczba ludzi zna się na coraz mniejszej ilości rzeczy, drugie zaś – iż coraz więcej ludzi osiąga pułap niekompetencji. Jeśli na dodatek przyjąć, że wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi w wielu sferach poznania mamy do czynienia z atrofią kreatywności w sferze idei, z zastępowaniem jej tyleż błyskotliwą, co bezpłodną ekwilibrystyką intelektualną czy metodologiczną, to przyjdzie stwierdzić, że aktywność umysłową i badawczą (zwłaszcza tę zinstytucjonalizowaną) coraz dokładniej opisuje inne jeszcze prawo – tym razem Parkinsona. Mówiąc obrazowo, spoza drzew nie widać już lasu, a wyrąbywanie ich nie służy wytyczaniu jakichkolwiek ścieżek czy traktów, lecz rozpalaniu wesołych ognisk, przy których umęczeni drwale przepijają swoje nie najgorsze dniówki. Nie trzeba chyba dodawać, że tych dzielnych robotników leśnych dawno już przestało interesować, komu – oprócz nich samych – i do czego potrzebny jest ich urobek.

Drugim powodem, dla którego tak trudno oprzeć się pokusie snucia rozważań interdyscyplinarnych, jest przekora umysłu, buntującego się przeciwko dominacji scjencyzmu, redukcjonizmu, narzuconego humanistyce przez wszechwładny, utylitarny racjonalizm czasów nowożytnych. Subiektywizm, obecny w ludzkim myśleniu, irracjonalizm, jakim podszyty bywa każdy przejaw ludzkiej aktywności, uznawane są pospół za „czynniki zakłócające”, gdyż zaburzają klarowność analiz zjawisk i procesów w kategoriach m.in. przeliczalności przyczyn i przewidywalności skutków. Uznanie za paradygmat, iż arbitralnie dekretowana redukcja miar opisu i analizy rzeczywistości do skończonej ich ilości pozwoli tę rzeczywistość w pełni rozumieć i kontrolować, jest uproszczeniem tyleż naiwnym, co zabawnym w skutkach.

Nie można bowiem sprowadzić wszystkiego do „systemowej mechaniki czynnikowej” – jakkolwiek by ją rozbudowywać. Świata – a zwłaszcza świata wnętrza człowieka czy tworzonego przez człowieka – nie da się opisać skończoną liczbą wymiarów, niezależnie od tego, jak je definiować. Czy się to komuś podoba czy nie, rzeczywistość, choć może i jest nieskończenie definiowalna (dla wytrwałych), to jednak pozostanie ostatecznie niepoznawalna.

Definicja i opis to domena wyłącznie rozumu, lecz poznanie – to domena rozumu połączonego z „czymś jeszcze”, co pozwala poza ten rozum wykraczać. W tym „czymś” tkwi tajemnica wszelkiej kreatywności, nierozwiązywalna zagadka fenomenu twórczości. Zagadką pozostają również reguły owego „wykraczania”. Można próbować definiować transgresję, można mniej lub bardziej dokładnie opisywać jej przejawy, nie sposób jednak poznać ją u samych jej źródeł czy wręcz ją kontrolować. Innymi słowy, „szał Muz” można rozpoznać, nie można go jednak ani w pełni zrozumieć, ani nad nim do końca panować. I bardzo dobrze...

Owo wykraczanie poza to, co już znane i wiadome, skręcanie w podejrzane rejony niepewności, wreszcie puszczenie wodzy fantazji i zdawania się bardziej na wyobraźnię i intuicję niż na najbardziej nawet skalkulowane ekstrapolacje, stanowi podstawę twórczej aktywności w każdej dziedzinie wiedzy (i sztuki). Czym innym jednak jest pozostawanie przy jednej z nich, wybranej z wielu, a czym innym hulanie sobie po różnych polach, uprawianych przez rozmaitych specjalistów. Interdyscyplinarne harce to coś na kształt *transgresji wielowymiarowej* – wykraczania poza istniejący stan rozpoznania i opisu *wielu* wątków rzeczywistości oraz kojarzenie ich na nowych zasadach. Jest niezbywalnym prawem każdego człowieka podejmowanie prób ogarniania *po swojemu* tego wszystkiego, co oferuje mu wiedza i co podpowiadają mu zarówno *własne* śmiałe, acz rozsądne przemyślenia, jak i *własne* irracjonalne, nawet szalone przeczucia. Istota owej aktywności wolnego ducha i rozumu zawiera się właśnie w niepowtarzalności czynnika *indywidualnego* (by nie rzec *osobistego*) każdej z takich prób.

Gdyby chodziło wyłącznie o analizę danych, wówczas wystarczyłoby przetwarzanie informacji wedle zadanych komputerom algorytmów. Lecz komputery nie dysponują owym „czymś” – umownie nazwiemy to intuicją, choć jest to termin raczej niefortunny, gdyż znaczeniowo nadużywany do

rozmaitych szalbierstw intelektualnych. Owo „coś” właśnie powoduje, że na każdym etapie takiej analizy można dokonać najdzikszego nawet zwrotu procedur. Komputer, choćby i wzbogacony o ograniczone sprawności heurystyczne, nigdy nie będzie wolnym twórcą, artystą. Nie da się bowiem zaprogramować w nim fantazji, swobodnej wyobraźni, chimeryczności, zwątpienia, nadziei, przekory, buntowniczej złości, wycucia formy i piękna – słowem, obdarzyć go wszystkimi licznymi atrybutami kreatywności. I nie chodzi nawet o jakieś wyżyny sztuki czy wglądu poznawczego. Wystarczy to odnieść do swobody skojarzeń, prowadzącej u zwykłego człowieka do nieprzewidywalnych zgoła następstw. Na koniec wreszcie komputer nie dysponuje wolną wolą, która człowiekowi pozwala pokonywać największe nawet przeszkody, a także włączać i wyłączać w myśleniu i kojarzeniu na przemian to, co racjonalne, i to, co irracjonalne, a co odgrywa tak wielką rolę w świadomości harcownika, zapuszczającego się na ziemie zakazane.

Interdyscyplinarność pozbawiona ducha sztuki jest zajęciem jałowym, co najwyżej erudycyjną żonglerką intelektualną. Momentami może nawet i zachwyca, lecz po pewnym czasie staje się męcząca i nużąca, tak jak bieganie chomika w obracającym się kole. Choćby nie wiem jak szybko to zwierzątko przebiegało łapkami, jak bardzo by przy tym popiskiwało, to i tak nigdzie nie dobiegnie. W końcu się zmęczy i zziąbane zlegnie. Po jakimś czasie podejmie swe bezowocne próby na nowo, bo ma wdrukowaną w organizm naturalną potrzebę ruchu, swoistą „popędliwość motoryczną”. Dopóki jednak nie zdobędzie się na odwagę, nie pozwoli, żeby ciekawość świata wzięła górę nad lękiem przed tym, co może je czekać gdzieś tam „na zewnątrz”, dopóty tkwić będzie w zakętym kręgu bieżni, na której się znalazło. Choć mechanikę swego koła pozna, być może, w stopniu niemal doskonałym, to – skoncentrowane wyłącznie na nim i do niego ograniczone – nigdy nie wytworzy w sobie odruchu „skoku w bok”, poza obręb zamkniętego obszaru aktywności.

W przypadku aktywności poznawczej taka zachowawcza postawa może wynikać z przymusu narzuconego z zewnątrz bądź ze świadomego i celowego samoograniczenia, uwarunkowanego przez swoisty konformizm psychospołeczny lub tresurę edukacyjno-intelektualną. Jeśli taki stan rzeczy nawet kogoś uwiera, to wewnętrzna gra dwóch potężnych, a przeciwstawnych sił – ciekawości i lęku – zwykle kończy się rezygnacją z nazbyt śmiałej

ekspansji poznawczej. Reszta to wyłącznie racjonalizacja owego zaniechania i moszczenie sobie wygodnego gniazdka w ramach dostępnych „warunków bezpieczeństwa” i potencjału kompetencyjnego. Koniec końców górę bierze trzecia siła, również niebywale motywująca każdą żywą istotę: potrzeba wygody i świętego spokoju. Mamy tu najwyraźniej do czynienia z odwróceniem tzw. hierarchii potrzeb, jaka wedle niektórych psychologów miałaby być kanonicznym wzorcem motywacyjnym funkcjonowania człowieka w jego życiowym rozwoju. Zamiast przemieszczania się „w górę” tej hierarchii, wszystko kończy się na opadnięciu „w dół”, czyli poprzestaniu na pewnym optymalnym poziomie trwania w przedziale stanów indywidualnie rozumianego komfortu psychicznego.

Rozważania interdyscyplinarne to nie tyle krytyczny przegląd wiedzy, ile próba jej nowej systematyzacji wedle indywidualnie i arbitralnie przyjętego lub wywiedzionego w toku analizy porządku nadrzędności i podrzędności poszczególnych jej elementów. To zaś zakłada selekcję tych składowych, odrzucenie jednych oraz pozostawienie innych do dalszego wykorzystania, przy zachowaniu zasady ich niesprzeczności z nowymi propozycjami konstrukcji wizji rzeczywistości. Wracając do obrazu biednego chomika: chodzi o to, aby wyjść poza koło i sprawdzić, jakiej to większej całości – aktualnie dostępnej lub widniejącej w dalszym horyzoncie – jest ono elementem i co z tego wynika lub może wynikać zarówno dla owego urządzenia, jak i dla samego zwierzątka. Decydujące jest tu ustalenie, czy w nowym „krajobrazie” to koło ma jeszcze jakiś sens, a jeśli ma – to jaki i dlaczego. Czego jest częścią? I czy nadal jeszcze jest w ogóle kołem.

Po wyjściu „na zewnątrz” możliwości wędrowki są nieograniczone. Ten, kto powążył się na taki krok, jeśli się nie wystraszy tego, co zrobił i nie wróci z podkulonym ogonem, rozpoczyna aktywność badawczą, wybierając kierunki dalszej eksploracji nowo rozpoznawanego świata. Rzecz cała sprowadza się nie do tego, czy iść dalej, lecz czym warto lub należy się kierować w dalszych decyzjach o tym, dokąd pójść. Co sprzyja dalszej ekspansji, a co ją hamuje? Co z poprzedniego doświadczenia teraz zgadza się i ma jakiś sens, a co jest tylko ograniczeniem lub wręcz nieprawdą? Co staje się zbędne, a co nowego trzeba wymyślić, żeby zrozumieć nowy świat, żeby go ogarnąć myślą i doświadczeniem i żeby nauczyć się w nim żyć, nie tracąc przy tym zbyt wiele z dotychczasowych aktywów? Podobnych pytań jest bez liku.

Zapyta ktoś, jakie powinny być kryteria owej selekcji wiedzy przy wybieraniu tych, a nie innych kolejnych kierunków postępującej wędrówki poznawczej? I kto ma owe kryteria ustalać? Ba, w tym właśnie tkwi przysłowiowy sęk. Nie można bowiem tego rozstrzygnąć na drodze wyłącznie racjonalnej, wedle jakiejś usystematyzowanej hierarchii kryteriów wyboru. Tu, przy zachowaniu dyscypliny rozumu, decyduje owo „coś jeszcze”. Wyczucie, przeczucie, jakieś bodźce lub afekty podprogowe, instynkt, intuicja, nadzieja, czysta radość poznawania i kreacji? Trudno jednoznacznie orzec. Malarz zna zasady perspektywy, lecz nagina je do własnej wizji obrazu. Matematyk zna złoty podział odcinka, fizyk wie, jak powstają barwy, lecz to malarz je dobiera i stosuje grę światłocieni na tworzonych figurach. Co kieruje jego okiem i ręką? Przecież nie teoria. Choć nie jest mu obca, to jednak nie jest jej niewolnikiem; nie ona tu rozstrzyga. Odstępuje od niej, gdy ma po temu ważny powód – własny powód. Wtedy wystarczy jedno drobnutkie wahnięcie proporcji kształtów i kolorów, żeby oddać coś *nowego*, jakiś *nowy* akcent, aspekt przedstawianej rzeczywistości. Dostrzeżonej przez artystę *po swojemu* – wcale nie sprzecznie z tym, co dotychczas o niej już wiadomo, lecz inaczej. A jednocześnie uchwyconej tak, że od tej chwili to nowe ujęcie zaczyna nadawać nowy sens wielu innym elementom tej rzeczywistości – w tym również tym nieprzedstawionym na obrazie.

Interdyscyplinarność jest nie tylko pochodną odwagi wyjścia poza istniejący stan rzeczy, lecz także – a może przede wszystkim – próbą nadawania nowych znaczeń temu, co już wiadome oraz temu, co nowo rozpoznawane albo tylko przeczuwane. A znaczenie i sens to domena nie tylko samego rozumu, lecz głównie ducha i emocji. Nadawanie znaków poszczególnym elementom rozpoznawanej rzeczywistości wyznacza nie chłodne i logiczne rozumowanie, lecz subiektywne przeżycie i zrodzoną z niego indywidualną narrację emocjonalną i w efekcie – własną prawdę o świecie. Nie jest to zatem nic innego jak swoiste wartościowanie. Logika pozwala opisywać i klasyfikować świat zredukowany wedle kryterium prawdy i fałszu, lecz ludzkiej rzeczywistości, która światem zredukowanym nie jest, tym sposobem opisać się nie da. W miejsce „zer i jedynek” pojawia się wieloraki i stopniowalne wartościowanie o nieprzebranym bogactwie znaczeniowych odcieni i niuansów.

Z powyższego można wysnuć wniosek, że wszelkie studia interdyscyplinarne są z natury subiektywne, ponieważ konieczna ocena i selekcja

materiału poddawanego analizie zawsze będzie w znacznym stopniu arbitralna, tak jak arbitralna potem będzie decyzja o tym, „co dalej”. Jest w tym swoista uzurpacja, której tak nie cierpią specjaliści. Czy jest ona dopuszczalna – i w jakim zakresie? Cóż, subiektywizm zawsze jest nieprzewidywalny. Można pisać uczone rozprawy, można wiedzą się bawić. Ciekawskie dziecko, które w nas tkwi, podszyte jest zabawą. A dzieci lubią płatać figle. I często dowiadują się więcej, niż moglibyśmy przypuszczać. Każdy, najbardziej nawet dojrzały artysta musi zachować ową dziecięcą gotowość widzenia świata po swojemu.

Czy zatem studia interdyscyplinarne są pokrewne sztuce? W pewnym sensie tak. Należy je uznać za swoistą odmianę kreatywności rozumu, który wiedząc czy wyczuwając, że istnieje owo „coś jeszcze”, posiłkuje się nim i choć nie rozumie do końca, czym jest – często uznaje je za równorzędnego partnera, niekiedy wręcz poddając się pokornie jego dominacji i przywództwu. Istota sprawy zawiera się w owocnej symbiozie tych dwóch aspektów ludzkiej natury i w ich zrównoważeniu.

W tym miejscu konieczne jest poczynienie pewnej dość istotnej uwagi. Otóż, odwoływanie się do tego, co uznajemy i akceptujemy jako irracjonalne, do emocji i fantazji, do wyobraźni twórczej, wreszcie zawieranie intuicji czy niezwykłym przeczuciom nie oznacza bynajmniej gotowości do popadania w szaleństwa rodem z New Age’u. Za Alicją w krainie czarów można przyjąć logikę szalonego kapelusznika czy zaprzyjaźnić się z uśmiechem kota, można podjąć wędrówkę po schodach Eschera, lecz nie oznacza to, że zaraz trzeba popadać w jakiś żerujący na ignorancji pseudonaukowy bełkot, który w gruncie rzeczy prowadzi do mistyfikacji rzeczywistości.

Chaos deterministyczny nie jest jednoznaczny z aksjologiczną hochsztaplerką, niezwykłość czy wręcz tajemnicza niezrozumiałość zjawisk nie ma nic wspólnego z działaniem licznych cudownych energii, nieoznaczoność i nieprzewidywalność zjawisk i procesów intrapsychicznych bardziej wiąże się z zasadami matematyki niż z grą niepojętych żywiołów. Wbrew powszechnie panującemu przekonaniu nasza wiedza jest bardzo jeszcze wąta i ograniczona. Należy pamiętać, że żyjemy w świecie coraz bardziej nachalnego kuglarstwa i oszustwa. Panoszy się paranaukowy bełkot, wokół krążą różne modne szalbierstwa, obiecujące łatwe i szybkie wyjaśnienia wszystkich zagadek bytu, czy wreszcie pseudonaukowe mity o cechach

prawd objawionych (*vide* psychoanaliza). To samo dotyczy i sztuki, w której zapomniano o estetyce czy wartościach – nie mówiąc już o dążeniu do piękna.

Badacz cały czas musi mieć na względzie to, że gdy bierze się do oceny światów, do których zawiodły go porywy fantazji, powinien kierować się zasadą starego Ockhama i prawami harmonii. Elementarna uczciwość wymaga od niego pokory wobec rygorów rozumu, piękna i moralności. Poznanie to raczej pełne zdumienia i przeżywania „odślanianie rzeczywistości” i wszelkich możliwych, nierozpoznanych jeszcze jej aspektów, sensów i znaczeń, a nie wymyślanie czegoś na zasadzie *creatio ex nihilo* czy popadanie w modlitewne zachwyty nad nirwaną.

Od dawna już wiadomo, że integracja nauki i sztuki wbrew pozorom wcale nie oznacza łączenia wody z ogniem. Zamierzona tu praca to odwołanie się do piękna wiedzy i mądrości sztuki, które współtworzą przestrzeń, w której kształtuje się świadomość i tożsamość każdego z nas. Wykluczenie któregoś z tych czynników, jego bagatelizowanie czy wręcz marginalizowanie zawsze musi prowadzić do przekłamań i deformacji poznawczych, a w konsekwencji do zubożenia, nieraz wręcz do sprymityzowania zarówno nas samych, jak i obrazu naszego życia. Można pompatycznie stwierdzić, że „szkiełko i oko” tylko wtedy bywa przydatne, gdy mędrcem kierują Muzy. Czy zawsze daje to ciekawe efekty? Cóż, jeśli nawet czasem trafia się kulą w płot, to zawsze warto próbować. Grek Zorba sprokurował fantastyczną katastrofę, a przecież tak wiele nas przy tym nauczył. Szlag trafił kopalnię, lecz radość tańca na morskiej plaży pozostała w nas już na zawsze jako część naszej mądrości życiowej. Może o to właśnie chodzi.